

JA,  
BOLESŁAW KOZUB (4)

Z dotychczasowej opowieści Pana Bolesława poznaliśmy jego lata szkolne, okres czynnej służby wojskowej w Krakowie, wspomnienia z obozu dla internowanych na Węgrzech i opis ucieczki stamtąd do Jugosławii.

Po przekroczeniu jugosłowiańskiej granicy, ja i moi dwaj przyjaciele, poczuliśmy się znacznie lepiej - byliśmy wolni. Mogliśmy kupić bilet do Zagrzebia i usiąść w normalnym wagonie. Sprawiliśmy sobie wspaniały prezent - kupiliśmy jedną pomarańczę, którą sprawiedliwie podzieliliśmy między naszą trójkę.

Ubrani w identyczne mundury londyńskich kontrolerów, wyglądaliśmy niczym trojaczki. Na dodatek wzbudzaliśmy podejrzenia, bo nie mieliśmy żadnego bagażu. Musieliśmy bardzo uważać, gdyż jugosłowiańskie wojsko i policja przeczesywały strefę przygraniczną w poszukiwaniu uciekinierów. Na szczęście udało się nam dotrzeć bez żadnych kłopotów do polskiego konsulatu w Zagrzebiu. Nasza placówka funkcjonowała zupełnie normalnie, pomagała rodakom, których wojenna zawierucha rzuciła do Jugosławii.

### Z Jugosławii do Włoch...

W konsulacie przyjęto nas bardzo serdecznie, poczęstowano posiłkiem, wydano odpowiednie dokumenty i zakwaterowano we Francuskim Instytucie Sportowym. Otrzymałyśmy też kartki żywnościowe do wykorzystania w jednogwiazdkowej restauracji.

Pierwszą noc spędziliśmy w towarzystwie licznych uciekinierów, żołnierzy różnych rodzajów broni. Nazajutrz poszliśmy do kościoła, by na klęczkach podziękować Bogu za dotychczasową opiekę oraz prosić o dalsze łaski. Wszak wyruszaliśmy dobrowolnie na wojnę, która się dopiero rozpoczęła. To była najgorętsza rozmowa z Bogiem w moim dotychczasowym życiu. Zapewne każdy z nas zastanawiał się, czy będzie mu dane wrócić do Ojczyzny i opowiedzieć o swym losie żołnierza-ndulca.

W Zagrzebiu spędziliśmy tylko cztery dni. Poświęciliśmy je na zwiedzanie miasta. Spotykani mieszkańcy traktowali nas bardzo serdecznie. Niektórzy z nich może liczyli się z faktem, że i oni nie unikną hitlerowskiej agresji.

Część uciekinierów dostała bilety do Splitu, by tam zaokrętować się na m/s

„Warszawę” płynący z uchodźcami z Rumunii do Marsylii. Ja, wraz z kolegami, otrzymaliśmy bilety i suchy prowiant na podróż do Francji przez Włochy. Przed wyruszeniem na pierwszy etap - do Wenecji przez Triest, osobiście pożegnał nas polski konsul.

W Wenecji po raz pierwszy w życiu zobaczyłem morze. Na dworcu w oczy rzucił się wyniosły włoscy faszysta. Włochy nie były jeszcze wówczas w stanie wojny i „mundurowi” nie zwracali na nasz transport większej uwagi. Po krótkim postoju ruszyliśmy do Turynu i dalej przez Alpy (przez przejście graniczne u podnóża Mont Blanc) do Francji.

### ... i dalej do Francji

Przyjęcie na ziemi francuskiej nie było zbyt miłe. Głodni i spragnieni otrzymaliśmy od kolejarzy koce, z którymi zaprowadzono nas do piwnicy, gdzie była rozścielona słoma. Byliśmy rozgoryczeni - przecież przyjechalśmy walczyć o wolność, nie tylko Polski, ale i Francji.

Nazajutrz, po posiłku w wojskowych koszarach, ruszyliśmy przez Lyon do małego miasteczka Bressier, gdzie zjawili-

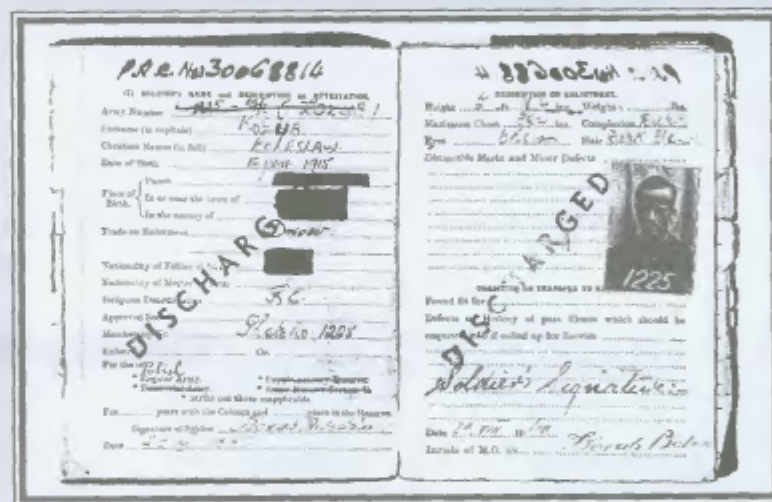
śmy było tułust, ser mi w ogóle nie smakowało, a czerwone wino podawane do obiadu było kwaśne. Ciągłe chodzenie głodny a jedynym ratunkiem było dokupywanie żywności w kantynie.

### Kolejna ewakuacja

Wśród Francuzów nie widzieliśmy żadnych przygotowań do wojny. Na lotnisku wojskowym nie było samolotów ani obrony przeciwlotniczej. Nie dysponowaliśmy żadnymi środkami transportu, oprócz starych, ciężkich pontonów. Nikt się zbyt nie przejmował pojawiającymi się coraz częściej niemieckimi samolotami. Dochodziły nas jedynie sygnały, że niemiecka ofensywa szybko postępuje na zachód. 17 czerwca rozpoczęliśmy ewakuację, by po raz kolejny nie znaleźć się w niemieckiej niewoli.

Choć Francja miała znacznie więcej czasu niż Polska na przygotowanie się do wojny i była wspierana przez armię brytyjską, to skapitulowała już po dwóch tygodniach walki. Marsz na zachód, w kierunku Atlantyku, był bardzo męczący. W dokuczliwym upale, w niewygodnym obuwiu, bez jedzenia i picia, staliśmy się ze zmę-

czenia. Po 40 kilometrach marszu noc spędziliśmy w klasztorze siostr zakonnych. Leżąc z obolałymi nogami na parkiecie sali gimnastycznej, postanowiłem, że jeśli wrócę z wojny do domu, to w



Fragment książeczki wojskowej

śmy się 21 kwietnia 1940 r. Zakwaterowano nas w średniowiecznym więzieniu, w którego ścianach były wykute wnęki do spania, niczym w katakumbach. Po pięciu dniach zawieziono nas do starego młyna wodnego w Parthaney, gdzie otrzymaliśmy umundurowanie - kurtki, furażerki, onuce i owijacze, buty (wyjątkowo niewygodne) oraz zabytkowe, jednostrzałowe karabiny typu Lehellé.

Po kilku dniach przewieziono nas w okolice Angers, gdzie przebywał polski rząd na uchodźctwie gen. Władysława Sikorskiego. Namawiano mnie, bym „zapisal” się na żołnierza zawodowego. Nie zdecydowałem się na to - wszak już od ponad dwóch lat byłem w służbie czynnej i po zakończeniu wojny, co według mnie miało nastąpić w ciągu roku, zamierzałem powrócić do cywila.

Bardzo trudno było mi przyzwyczaić się do francuskiego wyżywienia. Chleb z kukurydzy bardzo szybko wysychał, mięso

dowód wdzięczności Panu Bogu, złożyć ofiarę na kościół w rodzinnych Raclawicach.

Z klasztoru musieliśmy wrócić się kilka kilometrów na stację kolejową, skąd wyruszyliśmy w stronę Atlantyku. Nasza podróż kilkakrotnie była przerywana alarmami bombowymi. Widzieliśmy płonące portowe miasto St. Nazaire i wiele innych wojennych zniszczeń. Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża przez Bordeaux, Bayonne i Biarritz, aż do rybackiego portu St. Jean de Lure leżącego przed hiszpańską granicą. Było w tym coś symbolicznego - właśnie tu, podczas wyprawy Napoleona na Hiszpanię, znajdował się obóz polskich wojsk.

Na redzie Zatoki Biskajskiej czekał już na nas wspaniały polski liniowiec m/s „Batory”. Widzieliśmy jego światła, chcieliśmy jak najszybciej stanąć na skrawku polskiej ziemi.

Opowieści wysłuchał  
ZYG MUNT KRZYSTANEK